Zmieniliśmy środek transportu na lokalny pociąg, rezygnując z opóźnionego ekspresu obstawiliśmy cały peron, czatując na przyjazd by zająć jakiekolwiek miejsca. Naprzeciw ustawiali się doświadczeni Indusi gotowi wskoczyć do pociągu w biegu. Trzy, dwa, jeden ? ruszyli! To są właśnie te momenty, kiedy można ludzi porównać do bydła. Walczyliśmy godnie, zdobywając główną nagrodę.

Osiągnęliśmy nasz cel ciasnej podróży, najświętsze miasto w Indiach, a zarazem jedno z najstarszych miast świata, miasto o którym Mark Twain pisał, iż jest „starsze niż historia, starsze niż tradycja, starsze nawet niż legenda – zdaje się dwakroć starsze niż wszystkie one razem wzięte”. Tym razem nie mogliśmy sobie wyobrazić lepszego noclegu, usytuowany w ciasnych uliczkach starego miasta Puja Guest House zaczarował nas widokiem z rooftopu. Wysoki poziom kapryśnego Gangesu przykrył rozciągające się nad brzegiem ghaty, ale i tak nasyciliśmy oczy ogromnym ,pełnym prądów rozlewiskiem i skaczącymi z dachu na dach małpami nachodzących wręcz na siebie domów.

Nie dane nam było ułożyć się wygodnie w łóżkach.Po nasyceniu pierwszego głodu zeszliśmy nad Świętą Rzekę, by zapisać na kartach pamięci nie tylko naszych aparatów codzienne widowisko Waranasi zwane Pudżą – pełne kwiatów, światła i muzyki. Na łódkach kołyszących się przy brzegu podziwialiśmy taniec kadzideł i wysłuchaliśmy śpiewów dziękczynnych. Przyjemną noc dokończyliśmy wspinając się na najwyższy poziom naszego domu. Waranasi to tonące w mistycyzmie miasto, znad Manikarnika Ghat unosi się dym palonych zwłok – jego biel przypomina sunące ku niebu dusze. Niesamowita w tym wszystkim jest bliskość śmierci, która wbrew pozorom czaruje.

DZIEŃ II

Pierwszy raz mogliśmy pozwolić sobie na wstawanie nie poprzedzone budzikiem. Miasto już od kilku godzin wrzało, a my dopiero przed jedenastą zjedliśmy śniadanie. Zapakowaliśmy się w riksze, żeby odwiedzić jedno z najważniejszych miast dla buddystów, miasto w którym Budda wygłosił swoje pierwsze kazanie. Niespodzianką dla nas był niedawno postawiony posąg Siddharthy Gautamy, który idealnie wpasował się w otoczenie nie dając po sobie poznać, że stoi tam zaledwie od 2010 roku. Za towarzysza mieliśmy deszcz, który czyścił ulice z kurzu, a miłą odmianą była spływająca z nas woda nie wydalająca zapachu. Nie ukrywając się pod parasolami, mokrzy przestąpiliśmy próg Muzeum Archeologicznego, w którym znajdował jeden z najbardziej znanych symboli Indii – kapitel kolumny cesarza Aśoki, przypominający kształtem kwiat lotosu, składający się z czterech lwów symbolizujące cztery szlachetne prawdy buddyzmu. Po odwiedzeniu Chaukhandi Stupa – miejsca upamiętniającego wyżej wspomniane kazanie, wpadliśmy w szał zakupów. Usatysfakcjonowani osiągnięciem zadawalającej nas ceny wróciliśmy do Waranasi.

DZIEŃ III

Waranasi oddziałuje kojąco na każdego z nas. Być może dlatego z takim trudem przyszło nam dziś wstać. Zdania na temat powodów tego stanu rzeczy są podzielone, fakt pozostaje jednak faktem ? zaspaliśmy. Najbardziej opieszali dowiedzieli się, że są niedojdami i tumanami. Bardzo różnych rzeczy o sobie i członkach swoich rodzin dowiedzieli się

właściwie wszyscy choć trzeba przyznać, że wina leży po naszej stronie. Zwyczajnie zawaliliśmy. W nienajlepszych nastrojach za to przy pierwszorzędnej pogodzie wyruszamy na kolejny rajd po najstarszym z indyjskich miast. Każdy kto zetknął się kiedykolwiek z prawdziwymi buddyjskimi mnichami przyzna mi rację, są to ludzie z wszech miar wyjątkowi. Spokojni, skupieni, oddani swemu zajęciu cokolwiek by akurat nie robili a przy tym niesamowicie pozytywni i skorzy do śmiechu.

Po prostu ideały.

Może rzeczywiście poświęcenie życia na modlitwę i medytację otwiera oczy i daje dostęp do jakiś niedostępnych dla nikogo prawd. Było nie było, ci ludzie wiedzą coś więcej niż my.

To właśnie – czyli mianowicie: świątynię Nepali Temple – przyszło nam oglądać owego słonecznego poranka dnia trzeciego. Potem zaś, miało być tylko lepiej.

Słynny pogrzebowy ghat Manikarnika był jak wszystkie inne ghaty niedostępny z powodu oburzająco wysokiego poziomu Gangesu, który jak na złość wziął i wylał akurat w czasie naszego pobytu. Nikt nie wini oczywiście Gangesu, himalajskich deszczów, ani nawet Boga, który zdaje się, ponosi za cały ten bałagan odpowiedzialność. Niedosyt jednak pozostał, każdy bowiem pisze się na zobaczenie sławniejszego nawet niż samo Waranasi rytuału palenia zwłok. Ludzie jednak, obojętni na poziom wody i kaprysy Boga ? Gangesu umierają na potęgę o każdej porze dnia i nocy, rytuał przeniesiono więc na jeden z tarasów wznoszących się nad ghatem Manikarnika i wszyscy zadowoleni. Zmarli – bo mogą po bożemu i zgodnie z regulaminem pożegnać ten świat i my, bo możemy w tym pożegnaniu uczestniczyć.

Stojąc na dachu górującego nad okolicą przytułku dla umierających mieliśmy świetny widok na płonące stosy. Niewiele, pięć lub sześć ciał ułożonych w dwóch rządkach i opakowanych szczelnie w belki ze świeżego drewna. Jeden ze stosów dogorywał, ostatnie popioły karuzelowały lekko nad tlącymi się szczątkami, jeszcze chwila i najstarszy syn odprawiwszy ostatni rytuał ? rzuci na ciało dzbanek wypełniony wodą z Gangesu i przerwie tym samym jakikolwiek doczesny kontakt ze zmarłym. Żadnych ceremonii dodatkowych, żadnych grobów i rocznic śmierci.

Przecież uwolnił się z doczesności i żyje teraz jako absolut, jest mu dobrze i nie ma nad czym rozpaczać, prawda?

DZIEN IV

To była krótka noc, jak zwykle wszyscy wiedzieli ale nikt sobie nic z tego nie zrobił. Wszyscy są – jak na czwartą nad ranem – punktualnie, choć stan w jakim niektórzy pojawili się na zbiórce wskazuje na to, że mieli za sobą najwyżej dwie godziny snu. Poranny spacer orzeźwia choć o dobrych humorach mowy być nie może. Do łodzi mającej wywieźć nas na wschód słońca wchodzimy jak do ruskiego łagru. Jesteśmy zmęczeni, niewyspani i całą sytuacją delikatnie mówiąc niepocieszeni.

Wszyscy jednak kiwają z uznaniem głową, gdy tylko pierwsze promienie wschodzącego słońca zaczynają muskać nam twarze. Delikatna bryza niosąca się z rzeką poprawia nastrój, gdy obserwujemy codzienne życie hindusów, którzy modlą się, załatwiają i piorą obok siebie w tej samej rzece. Popadamy w zadumę. Pozostajemy w niej nadal kładąc się na powrót do łóżka, kadra nie okazała się bestialska i do południa pozwolono nam dowolnie rozporządzać czasem. Niemalże wszyscy wykorzystali go na zaciszne odsypianie, tudzież szeroko rozumiane doprowadzanie się do porządku.

Dwukrotne wstawanie tego samego dnia ma swoje złe strony, jedną z nich jest dziwne rozdwojenie jaźni i swoiste deja vu, które dopadło niektórych, w tym piszącego we własnej osobie. Może to właśnie sprawiło, że piszący porzucił bezpańsko plecak wieziony w rikszy. Riksiarz ma się rozumieć odjechał, szans na odnalezienie plecaka nie było, a grupa gracko udała się do kina, by uraczyć oczy jednym z najnowszych arcydzieł indyjskiego przemysłu filmowego. Zwało się toto „Murder" okraszone numerkiem porządkowym „2" i w niczym nie przypominało standardowego bolywoodzkiego cudeńka. Było raczej jak typowy amerykański film akcji klasy B – z piękną kobietą, przystojnym, silnym mężczyzną i złym przeciwnikiem do pokonania.

Reszta dnia upłynęła sennie i po naszemu, po kinie otrzymaliśmy bowiem czas wolny.

Niektórych intryguje pewnie sprawa rzeczonego plecaka, który autor gapa zostawił był w rikszy. Otóż z rzeczy wartościowych zawierał on aparat oraz telefon komórkowy, łącznie około dwóch tysięcy złotych plus wspomnienia, które są ma się rozumieć bezcenne. Wyłowienie spośród, jak udało mi się naprędce policzyć, stu milionów riksiarzy operujących w rejonie Waranasi tego właściwego wydawało się delikatnie mówiąc niemożliwe. Podjęliśmy się jednak niemożliwego i jakimś cudem mając więcej szczęścia niż rozumu wróciliśmy pod wieczór z plecakiem i całą zawartością. Reszta jest milczeniem, a w zasadzie snem bo dnia następnego o równie nieludzkiej porze co dziś mieliśmy wyruszyć do Amritsaru.